
Aleksandra Majdzińska

Wybory 1989 - materiał spoza kadru

W poniedziałek po wyborach powiesił się kogut. Chciał przeskoczyć przez płot i źle oszacował wysokość. Tato wracał właśnie od wioskowego felczera ze zwolnieniem w torbie, bo wczoraj kolejka do urn była długa, w polu robota stała nie ruszona. A tu pogoda, siano trzeba przewracać, zwozić, żeby nie przerosło po wcześniejszych deszczach. Nijak nie pasowało jechać na szóstą do miasta, do fabryki.

Mama uznała śmierć koguta za zły znak.

- Może to wszystko na próżno? – narzekała. Przez przez lata z szacunku do ziemi, tych kilku hektarów V klasy na pomorskich piaskach, zносиła szykany systemu, dla którego była kułakiem, zdziercą, wrogiem klasowym, pijawką na zdrowym ciele polskiej wsi. Wybory miały przynieść normalność.

- Pewnie komunista – skwitował tata i poszedł w pole.

A jednak coś się zmieniło. Nadzieje w ludziach porosły. Skrywane długo i opuchłe jak wrzody tajemnice wysadziły nabrzmiały czop i sączyły się cienką stróżką. Bolało, śmierdziało ale z czasem przynosiło ulgę. Dyrektor szkoły przestała powtarzać, że Stalin w gruncie rzeczy nie był taki zły, sąsiad zaczął przebąkiwać, że może w końcu będzie można mówić po swojemu, póki co niejasne było, czy miał na myśli po kaszubsku, po ukraińsku czy po niemiecku, niektórzy chowali głębiej partyjne orderzy w szufladach i głowy w ramionach, inni patrzyli nieco śmieiej, ksiądz ogłosił święcenie plecaków szkolnych a w sklepie zamiast oranżady kupowaliśmy orange.

Zawsze sobotę wieczorem zanosiałam mleko starszemu małżeństwu Kołakowskich. Mieszkali na skraju wsi, w domu z pruskiego muru z gryfem na ścianie. Przyjechali z Wilna, właściwie jego żona- pani Janeczka, a on dla niej wrócił tu z Londynu. Czerwcowy wieczór, jasny i ciepły, pachniał sianem i kwiatami znad łąki. Wzięłam głęboki wdech i przyspieszyłam kroku.

- Słyszałaś derkacza po drodze? – przywitał mnie pan Kołakowski, ubrany pomimo ciepła, w koszulę z długimi rękawami zapiętą pod szyję. Skrywał w ten sposób blizny po niemieckich kulach i po razach polskich ubeków. Wileńskie więzienie NKWD, zesłanie, Armia Andersa, obóz koncentracyjny, bitwa pod Falaise z gen. Maczkiem, Armia Polska w Londynie i powrót do Polski w ręce polskich oprawców. Niewielu o tym wiedziało. Niemcy zastrzelili mu syna, Polacy odebrali szansę na kolejne potomstwo. We wsi był dziwakiem, zagadkowym choć

mądrym, który się w życiu nie narobił, bo co to za robota podania pisać, naprawiać radia, obrazy malować, czy, pożał się Boże, ptaki liczyć.

Dla władz był szpiegiem, zaplutym karłem reakcji, sługusem obcych mocarstw, oficjalnie zaś rolnikiem zobowiązanym do oddawania rolniczego kontyngentu. Po żniwach kupował u nas zboże i oddawał państwu.

- Spotkałam tylko wróble – zażartowałam.

Potem jak zwykle piliśmy herbatę przygotowaną przez panią Janeczkę w szklankach w metalowych koszyczkach, przegryzając herbatnikami ze spółdzielni.

- Spotkałem ostatnio mojego znajomego z Kilińskiego 41 – powiedział pan Kołakowski, który w słupskim UB spędził pięć lat.

- Ukłonił się?

- Przeszedł na drugą stronę.

Patrzyłam na siedzącego przede mną drobnego, schorowanego człowieka, kulejącego przy każdym kroku, smarującego co wieczór wodą utlenioną skatowane ciało – jedną wielką bliznę, przysięgającego ojczyźnie, że *o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć będzie ze wszystkich sił — aż do ofiary życia mego.* Po raz pierwszy zebrałam się na odwagę i zapytałam:

- Co pan z tego miał?

Zamyślił się.

- Postąpiłem tak, jak powinienem był postąpić – powiedział patrząc na wiśniowe drzewa za oknem.

- Mam coś dla ciebie – wstał od stołu i przyniósł z pokoju pudełeczko kolorowych landrynek w pudrze.

*

W niedzielę po mszy ksiądz ogłosił, że będzie rozdawana pomoc i trzeba ustalić miejsce. Zdążyliśmy przywyknąć, że w naszej wsi z Zachodu było tylko słone masło i pomarańczowy ser, które od polskich różniły się tylko tym, że można je było kupić bez kartek a do tego każdego dnia, nie tylko w nabiałowe wtorki i czwartki. No chyba, że miało się w rodzinie cicię w zakonie albo wujka księdza, tak jak Warzuchowscy z PGR. Wtedy strumień pomocy

był szerszy i nie chodziło się w butach kupionych na talony, a wybierało model z kilkunastu par stojących równo w szafie. Wedle widzi mi się lub do koloru płaszcza.

Sołtys, który tak się złożyło miał niemieckie nazwisko, bo był z Deutsche Katholiken, poszedł do zakrystii i powiedział, że może być u niego na podwórku.

Dwa dni później, w ostatni dzień wakacji, kościelny się spieszył i wysypał pomoc na trawę przed domem sołtysa.

Bierzcie i jedzcie z góry przebranych ubrań - resztek z polonijnych darów, które dotarły do naszej wsi, bo zalegały i zdążyły zatęchnąć w kościelnych magazynach. Wybory wróżyły zmiany. Trzeba było zrobić miejsce na nowe.

W wrześniu tego roku na apel z okazji wybuchu II wojny światowej do naszej szkoły zaproszono Zenona Kołakowskiego - po raz pierwszy oficjalnie usłyszał, że jest bohaterem walczącym o zwycięstwo Polski. Dnia zwycięstwa, niestety, nie doczekał. Zmarł przed wigilią 1989 roku, w dzień swoich urodzin.

Kiedy w mieście niczym grzyby po deszczu wyrastały łożka polowe, tatę zwolnili z pracy. Miał hektary, według statystyk miał z czego żyć. Spieniężaliśmy co się dało - lipę z podwórka, grzyby z lasu. mleko od krowy, jajka od kur. Przed rozpoczęciem szkoły sprzedaliśmy krowę, potem przyszła kolej na kury. Koguta zarznęliśmy jako ostatniego. Na naszej wsi lepsze się spóźniało.